

Maciej Franz, *Burza nad Morzem Śródziemnym*, t. I–V, Oświęcim–Poznań 2016–2017, Wydawnictwo Napoleon V

Autor średniego pokolenia historyków polskich wszedł do historiografii przede wszystkim jako badacz kwestii militarnych w czasach nowożytnych w XVI i XVII w., zwłaszcza wojen kozackich, traktowanych jako fragment walki o budowę państwa na ziemiach ukraińskich. Stopniowo jednak w jego różnorodnym i niemałym już dorobku, obejmującym także prace z wojskowości XIX w. oraz I wojny światowej, zaczęły dominować opracowania dotyczące marynarki akwenu śródziemnomorskiego podczas II wojny światowej. Wielkim finałem tego zainteresowania jest pięcioksiąg pod ogólnym tytułem *Burza nad Morzem Śródziemnym*. Oddaje on dobrze treść i ekspresję towarzyszącą zmaganiom kilku państw i wielu narodów o panowanie w tym rejonie.

Na ponad dwóch tysiącach stron Maciej Franz – profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – kreśli losy bitew wielkich i małych, ludzi i okrętów, państw i narodów zaangażowanych w śmiertelny bój w rejonie ogromnie ważnym dla dziejów Europy, Afryki i Bliskiego Wschodu. Całość jest ułożona chronologicznie, na tyle, na ile można być konsekwentnym, zważywszy na rozległość terenu działania (choć względna), wątków oraz akcji rozgrywających się równoległe i równocześnie. Na tom I, pt. *Wojna się rozpoczyna*, składają się dwie części. W pierwszej Autor wprowadza do polityki cechującej się rosnącym zainteresowaniem Morzem Śródziemnym, nie tylko zresztą przez Włochów od wieków zapatrzonych w budowę *mare nostrum*. Nie przeszkadzało im to, aby po upadku Austro-Węgier dążyć do przekształcenia w wewnętrzne jezioro także Morza Adriatyckiego. Na obu tych kierunkach Italia napotykała opór i sprzeciw pozostałych państw związanych z tym akwenem – Francji, Grecji, Jugosławii, a także Wielkiej Brytanii – nie tylko jako władczyni mórz, ale i mandatariusz na Bliskim Wschodzie. Jest o czym pisać.

Tom II, pt. *Zmagania o panowanie na morzu*, obejmuje działania bojowe wrogich flot od wejścia Włoch do wojny w połowie 1940 r. do końca roku przyszłego. Targi włoskie dotyczące ich miejsca w rozwijającym się konflikcie miały wysoką cenę wyjściową. Analizy dominujące w historiografii (także polskiej) nie przyjmą odważnej tezy sugerującej, że „w otoczeniu Mussoliniego nikt nie liczył, że wojna skończy się w okresie krótszym niż półtora roku” (s. 243). Tymczasem sytuacja była podobna lub zbliżona do propagandy innych państw otwierających konflikt zbrojny, którzy wierząc w posiadaną siłę i przewagę, byli przekonani, że inicjują operację liczoną w miesiącach. Nie inaczej działo się we Włoszech. Mussolini decydując się na przystąpienie Włoch do wojny przeciwko Francji, mawiał – nie tylko w bardzo zaufanym gronie – że potrzebuje kilkuset zabitych, aby mógł zasiąść do pokojowego stołu. Istotne znaczenie dla prowadzonej przez Macieja Franza narracji miał faktyczny stan włoskich sił zbrojnych. Autor podkreśla liczbę okrętów podwodnych, która ustępowała tylko flocie ZSRR. Dotyczyło to także pozostałych segmentów floty włoskiej oraz ich miejsca we włoskich siłach zbrojnych, jej obiektywnych możliwości, roli i pozycji politycznej i społecznej. Flota włoska nie odbiegała od brytyjskiej i francuskiej: „włoskie okręty były nowoczesne, liczne i dobrze skonstruowane [...] przez całą wojnę były bardzo groźne i doskonale spełniały wiele różnych stawianych przed nimi zadań” (s. 106). Po przystąpieniu Włoch do wojny walki morskie nabrały intensywniejszego charakteru z pozytywnym skutkiem dla operacji pozwalających mówić o włoskiej dominacji we wschodniej części akwenu. Do kluczowych kwestii omawianych w tym tomie – oprócz

stale obecnych problemów konwojowych – należy starcie pod Matapanem w końcu marca 1941 r., w którym Włosi stracili trzy nowoczesne ciężkie krążowniki. Tej jednej z największych bitew morskich na Morzu Śródziemnym w całej wojnie autor poświęca 2 spośród 13 rozdziałów. Konkludując, stwierdza, że straty poniesione w tej bitwie nie okazały się katastrofalne dla włoskich sił morskich, które zachowały wiele ze swoich wcześniejszych atutów. W tomie tym sporo miejsca zajęło przygotowanie do dwóch operacji bojowych, których jednak nie podjęto. Chodzi o plany zajęcia Gibraltaru jako wspólnej akcji Włoch, Niemiec, Hiszpanii i Francji Vichy. Podobnie było z planami inwazji Cypru. Interesujące fragmenty tego tomu dotyczą zastosowanych przez dowództwo włoskie „żywych torped”, które przeprowadzając np. operację w Aleksandrii, okazały się dla Brytyjczyków dotkliwe. Wątek ten – na ogół rezerwowany dla ataków kamikaze – bywał wykorzystywany w propagandzie wewnętrznej, w latach wojny nieprzebiegającej w argumentach i środkach. Oczywiście nie wchodzili w grę samobójcy natchnieni wiarą w Duce. Włoskie „żywe torpedy” to samobieżne torpedy kierowane przez marynarza-nurka, który pozostawiał pod okrętem głowice bojowe z czasowym zapalnikiem. Rozdział ten, liczący niemal 60 stron, chociaż naszpikowany detalami, należy do ciekawszych w całym opracowaniu.

Tom III, liczący ponad 500 stron, ma wymowny tytuł *Do ostatniej kropli paliwa*, co jednoznacznie wskazuje, że uwaga zostaje skupiona na newralgicznej sprawie organizacji i efektywności konwojów. Za każdym razem w grę wchodziły staranne przygotowania uwzględniające ryzyko, które rosło w miarę potęgujących się braków w zaopatrzeniu – nie tylko broni i wszelakiego sprzętu, w tym głównie materiałów pędnych i szybko zużywającego się sprzętu w warunkach afrykańskich, ale także aprowizacji, środków higieny osobistej itd., itp. Z natury rzeczy ważne miejsce zajmuje prezentacja okrętów i statków przygotowywanych do każdego, nawet niewielkiego konwoju. Tom ten, skoncentrowany w sensie chronologicznym na końcu roku 1941 oraz następnym, składa się z dwóch części. W pierwszej scharakteryzowano rozwój sytuacji w części wschodniej akwenu, w którym okresowo przewagę utrzymywała bądź zdobywała flota brytyjska wspierana przez lotnictwo. W drugiej części tego tomu niemal w całości skupiono się na operacjach konwojowych w stronę Malty. Istotnym *novum* prowadzonych na tym kierunku bojów było wzmoczenie działalności lotnictwa niemiecko-włoskiego jako głównej siły zdolnej do wyeliminowania zdolności defensywnych Malty; strona brytyjska organizując wielkie konwoje, dokładała usilnych starań o utrzymanie dostaw.

Najobszerniejszy, bo liczący niemal 550 stron tom IV ma bardzo rozbudowaną strukturę wewnętrzną. Składa się z dwóch części. W pierwszej omówiono ofensywną działalność aliantów, w drugiej podjęto temat niemieckich działań na Morzu Śródziemnym. W 13 rozdziałach Autor starał się zachować porządek chronologiczny. Także w tym tomie sprawy włoskie odgrywają pierwszorzędą rolę, jako że obejmują miesiące wielkich turbulencji związanych z rosnącymi trudnościami armii włoskiej, w tym i floty, zarówno na polu walki, jak i poza nim. Szanse generalnego sukcesu ulatywały wraz z rosnącą przewagą Wielkiej Brytanii korzystającej z coraz wyraźniej zaznaczającej się pomocy U.S. Navy. Było to wyraźne podczas przygotowań do desantu w Afryce Północnej na tereny francuskich kolonii, w którym uczestniczyło 106 tys. żołnierzy alianckich. Konwoje składały się niejednokrotnie z większej liczby okrętów eskorty niż statków towarowych. Bywały operacje, omawiane przez Autora, zmierzające np. w listopadzie 1942 r. do Casablanki, które miały 38 statków i 56 okrętów eskorty (s. 23). Maciej Franz również pieczołowicie rekonstruuje

wielkie desanty na Sycylii i wybrzeżach południowych Włoch, co w istotnym stopniu przyczyniło się do obalenia dyktatury Mussoliniego, egzekwowanej jednak raczej we włoskim stylu. Ta ostatnia opinia nie pochodzi od Autora, który płk. Ottona Skorzenego wzmiankuje w przypisie (t. V, s. 107), przekonując lub sugerując, że zarówno flota wojenna, jak i handlowa dowiodła swojego bohaterstwa i hartu ducha. W tej poetyce utrzymana jest sprawa ostatniego wyjścia włoskiej floty wojennej w morze. Odnosząc się do wątpliwości obecnych w historiografii, Autor zamarzył nawet, aby przytoczone fakty i opisy pozwoliły czytelnikowi na wyrobienie sobie jak najbardziej obiektywnego i samodzielnego spojrzenia na tę kwestię. Swoistą przeciwwagą dla tak prowadzonej narracji jest dramatyczny los floty francuskiej, która albo szła na dno w portach, albo została w większości samozatopiona. Nowy wątek w tym tomie dotyczy aktywności niemieckiej floty wojennej, która nigdy wcześniej nie posiadała na tym akwenie dużych jednostek. W zmieniających się warunkach przejęte przez nią resztki floty francuskiej i włoskiej, a zwłaszcza wprowadzone przez Cieśninę Gibraltarską U-Booty przysparzały aliantom wielu kłopotów aż do ostatnich dni wojny.

Integralny charakter pięcioksięgu uwypuklony został w tomie V zatytułowanym *Gdy Włochów w tej wojnie nie było*, co ponawia ekspozycję Italii w całym przedsięwzięciu edytorskim. Tom ten, liczący ponad 400 stron, tylko w połowie zawiera kwestie merytoryczne, a więc działania alianckich okrętów podwodnych, zdobycie Korsyki, lądowanie na Elbie, operację „Dragon”, omówienie floty wojennej Włoskiej Republiki Socjalnej oraz wygaszenie walk. Druga część tego tomu to streszczenia angielskie i włoskie (s. 219–249), bibliografia (o czym trochę niżej), niezmiernie przydatny indeks nazwisk – podaje się także narodowość, stopień wojskowy lub funkcję. Uzupełnieniem o charakterze informacyjnym jest obszerny (s. 355–421) indeks okrętów i statków. Zostały w nim ujęte występujące w tekście i przypisach wszelkie nazwy okrętów, statków, jednostek pływających z podaniem miejsca ich występowania. To także ważny rejestr z punktu widzenia opracowania jako całości, jak również dla pasjonatów marynarki. Owe starannie przygotowane „dodatki” są przejrzyste i trudno wyobrazić sobie dobre korzystanie z całego opracowania bez podobnych elementów.

Każdy tom mógłby stanowić samodzielną pozycję, ponieważ każdy z nich posiada rozbudowaną strukturę wewnętrzną oraz krótkie wprowadzenie i podsumowanie. Rozumie się, że w tak skromnym tekście o klasycznej recenzji nie można mówić. Całość spinają i łączą przede wszystkim teren działania, preponderancja dla włoskiego punktu widzenia, do pewnego stopnia obrona, a przynajmniej pogłębione wyjaśnianie motywów włoskiej ich aktywności zbrojnej na śródziemnym akwenie.

Panorama problemów podjętych w poszczególnych tomach – przybliżona jedynie w hasłowych sformułowaniach – jest uzasadniona i nie wzbudza zasadniczych kontrowersji. Konstrukcja jest na ogół przejrzysta z dobrze rozłożonymi akcentami, wśród których nie brakuje uwag podkreślających rolę i miejsce Morza Śródziemnego na styku cywilizacji. Autor jest świadom tego, że porusza się po obszarze stanowiącym obiekt planów, oczekiwań, nawet marzeń wielu, często oddalonych państw. Zarazem te fragmenty dzieła, które dotyczą spraw ogólnych, bardziej znanych historykom niekoniecznie skoncentrowanych na – ogólnie rzecz biorąc – wojskowości, należą do ważnych, ale także prowokujących do dyskusji. Ze zrozumiałych względów w wielu miejscach dawano wyraz pamięci o głównych konkurentach – przede wszystkim Francji i Italii. Najmniej można było powiedzieć o Jugosławii, której wysiłek organizacyjny i materialny lokował się na obronie przed naporem włoskim, mającym zaawansowane ambicje także wobec Adriatyku.

Autor raz po raz zwraca uwagę czytelnikom na duże możliwości interpretacyjne historyków omawiających określone wydarzenie z uwzględnieniem subiektywnej (zwykle narodowej) perspektywy. Nierzadko ten sam epizod może być – i z reguły bywa – pokazywany jako sukces każdej ze stron. Podobnych pułapek M. Franz jest w pełni świadom, dlatego przypomina – także pośrednio, że żadne starcie nie ma ofiar tylko po jednej stronie. Wiele konwojów przedzierających się przez Morze Śródziemne, zwłaszcza na Maltę i do wybrzeża afrykańskiego, było pokazywanych jako sukces, kiedy konwój docierał do celu, ale już jaką jego część i z jakimi stratami własnymi pomijano najczęściej milczeniem. Odpowiedzialność historyka za wypracowanie wyważonej opinii, oceny jest podstawowym celem – jeśli w ogóle mamy mówić o postawie badawczej znamionującej zawodowego historyka. Powyższa uwaga uwypukla zasługę Autora omawianego opracowania, który nie kryjąc sympatii dla strony włoskiej, z rozwagą posługuje się takimi określeniami, jak zyski i straty, zwycięstwo i klęska, sukces i niepowodzenie, wygrana i przegrana.

Nie było to zadanie ani proste, ani łatwe, tym bardziej że Autor stara się pokazać nie tylko armię włoską z dobrej strony, ale także politykę Królestwa Włoch i pierwszego państwa faszystowskiego w kontekście pytania o odpowiedzialność za rozwój sytuacji, która zakończyła się wojną. Zapewne niejeden będzie zaskoczony konstatacją podkreślającą równo silnie odpowiedzialność Francji, jak i Włoch za rozwój napięcia i atmosfery prowojennej. Napisano, że Francja budowała i wprowadzała do służby więcej okrętów wojennych, a zatem nieprawdziwe są opinie, że to Włochy napędzały zbrojenia morskie i przyczyniały się do destabilizacji sytuacji militarnej i politycznej w regionie. Próbuąc dokonać bilansu, pisze się, że oba państwa prowadziły „równie agresywną politykę i przyczyniały się do wyścigu zbrojeń morskich obejmującego nie tylko rejon Morza Śródziemnego, ale faktycznie cały świat” (t. I, s. 136). To jest znana teza zwłaszcza starszej historiografii włoskiej. Nie podzielam jej i nie mogę się zaliczyć do zwolenników takiego rozkładu odpowiedzialności.

Odwieczny dylemat odpowiedzialności w kontekście wojny, jako zjawiska politycznego, militarne, społecznego – najogólniej kulturowego, nie może ująć uwagi, nie może być pominięty i lekceważony przez żadnego historyka. Także w opiniowanym opracowaniu co rusz w kolejnych tomach pojawia się konglomerat spraw, postaw ludzkich – na frontach i na zapleczu, w teorii i w praktyce, za każdym razem w innej konfiguracji, bo co innego znaczy bezpieczeństwo w okopach, na redzie, portach czy na pełnym morzu i w warunkach wojny, także totalnej, „do ostatniego żołnierza” (acz mniej kategoryczne jest do ostatniego naboju, ostatniej kropli benzyny itd.), w czasie zwycięskiego marszu, ale i odwrotu bez nadziei na odwrót – jak to pokazały los żołnierzy włoskich na froncie rosyjskim czy samozatopienie floty francuskiej.

Autor specjalnie nie utyskuje na zalew materiału koniecznego do przedstawienia rozwoju sytuacji na Morzu Śródziemnym podczas II wojny światowej. Ogromna liczba różnorodnych przypisów pokazuje, że dążenie do starannej eksploracji różnorodnego materiału było przemożne. W różnych miejscach Autor podkreśla, że rozpatruje zagadnienie ogromne, reprezentowane w archiwach, bibliotekach i muzeach całego świata przez setki metrów bieżących akt, tysiące książek, artefaktów. Były i są one wytworem tysięcy instytucji publicznych i prywatnych, organizacji społecznych, polityków i wojskowych, ludzi pióra – militarystów i pacyfistów, duchownych wszelkich religii i wyznań. Nawet duże zespoły ludzkie nie są w stanie ogarnąć wytworzonych i dostępnych na ten temat źródeł. Autor dociera do kilku wybranych, chociaż głównie do archiwów włoskich, w tym nawet stosunkowo skromnego dla tematu zasobu

Archiwum Historycznego Muzeum Historii Wojennej Włoch w Rovereto (a nie Roverto). Nie może zaskakiwać uwypuklenie wartości zasobów muzealnych. Opinia M. Franza, że wielu historyków traktuje zbiory muzealne jako mało istotne dla prowadzonych badań, broni się z wielkim trudem. Bo nie można sobie wyobrazić, aby historycy stronili od zbiorów gromadzonych przez muzea wojskowe, szczególnie wyspecjalizowane, np. marynistyczne. Ostrzej: nie może uchodzić za historyka osoba, która poważałyby się omijać jakiegokolwiek dostępne – nieważne jak istotne – źródła dla poznania i zrozumienia tematu.

Wręcz ogromna liczba przypisów poświadcza, że podstawa źródłowa, w tym także wykorzystanie literatury przedmiotu, zasługuje na wysoką ocenę. Z innej strony bibliografia w omawianej pracy zajmuje 70 stron druku; mogłaby wielokrotnie więcej. Niezmiennie podkreślam konieczność praktycznej skromności w tym względzie. Każdy temat stanowiący fragment historii powszechnej, którym bezpośrednio lub pośrednio zainteresowana jest grupa państw, powinien ograniczać się do literatury w danej książce przytaczanej. Pisanie o bibliografii do podobnych tematów uważam za niestosowne.

Odnieść to także trzeba do literatury dostępnej w języku polskim, która jest już znaczna. W grę wchodzi nie tylko i nie tyle tłumaczenia, ile aktywność pisarska historyków, w tym zwłaszcza marynistów, którzy wojennym wydarzeniom na Morzu Śródziemnym poświęcili wiele uwagi. Nie poddano tego dużego już dorobku krytycznej ocenie, uznając, że jest to temat oczekujący na weryfikację w toku pisania. Założenie to w ograniczonym stopniu potwierdziło się w trakcie lektury. Autora nie zraża popularnonaukowa forma sporej ich części, bowiem teksty z tego zakresu reprezentują na ogół wysoki poziom merytoryczny i zasługują na poważne traktowanie. Z polskich badaczy najczęściej wymieniany jest Andrzej Perepeczko, a także Wojciech Halicki, Maciej Sobański, Marek Twardowski, Waldemar Waligóra, Krzysztof Zalewski. Siebie autor w indeksie pominął, jakkolwiek występuje wielokrotnie, także jako autor dużej liczby zdjęć.

Ilustracje są ważnym elementem każdej, nawet najbardziej nudnej książki, którą ponadto „ubierają”, poprawiając komfort lektury. Z tego punktu widzenia można mieć żal do wydawcy za nie najwyższą (często wręcz kiepską) jakość techniczną niektórych ilustracji, a i do Autora za zgłoszone propozycje. Część z nich właściwie niczego nie mówi – bo co mi powie zdjęcie spokojnej tafli Bałtyku, Morza Śródziemnego czy innego akwenu, czy też widok współczesnego wejścia do bazy Marynarki Wojennej w La Spezia? Co ma powiedzieć czytelnikowi reprodukcja pomnika gen. de Gaulle’a w Warszawie (t. V, s. 52)? Chyba to, że na omawianym obszarze nie ma żadnej figury Wielkiego Francuza i zamiast sięgania do jego ziemi rodzinnej pokazano pomnik z Warszawy – średni zresztą. Z podpisu pod ilustracją (t. I, s. 286) wynika, że jest na niej de Gaulle na pokładzie okrętu podwodnego; gdyby jednak brakowało podpisu, nie byłbym w stanie go rozpoznać. Twarze wielu osób widniejących na zdjęciach – szczególnie pokazujących więcej niż jedną osobę – są nierozpoznawalne. Niestety dotyczy to także wielu fotografowanych obiektów – okrętów, samolotów, upamiętnień...

Uważam, że znaczną ich część, bez merytorycznej straty, można by pominąć. Hołduję zasadzie, że ilustracja ma być uzupełnieniem i dopełnieniem tekstu. Nigdy nie umieściłbym fotografii Mussoliniego podpisującego układ monachijski, kiedy omawia się wydarzenie na wyspie Korfu z 1923 r. Jeszcze nie Duce, ale był już wówczas obfotografowywany setki razy. *À propos* wydarzeń z tym związanych – Autor dystansuje

się od uznania tej akcji „jako masakry na zimno zaplanowanej przez stronę włoską” (t. I, s. 55, przypis 63). W Lidze Narodów, gdzie problem był z dobrym skutkiem rozwiązany, podobne oskarżenia nie zostały sformułowane ani przez rząd grecki, ani przez specjalną komisję powołaną przez Radę LN do rozpatrzenia tej sprawy. Związła z natury rzeczy informacja o tym konflikcie pokazuje różnice odnoszące się do formy i charakteru opisu przez zawodowych i doświadczonych historyków. Sprawą tą zajmowałem się kilkakrotnie (pierwszy raz w 1983 r.), jednak w żadnym wypadku nawet nie zająknąłem się o operacji *stricte* wojskowej, obejmującej zastosowane siły i środki. Maciej Franz wzmiankuje to wydarzenie za pomocą odmiennego aparatu pojęciowego, jakoby innego języka, bo odmiennego punktu patrzenia. W dodatku zadeklarowanego pacyfisty z jednej strony i miłośnika mundurów z drugiej. Wszystko to razem wzięwszy, potwierdza postępujące, coraz dalej idące wyodrębnianie się historii wojskowości w obszarze nauk historycznych – obok historii sztuki, archeologii, etnologii itd.

Jakkolwiek tytuł opracowania M. Franza ma dość ogólny charakter, to jednak dominuje w nim spojrzenie włoskie. Nie zgłaszam pretensji, bo wszystkie elementy uzasadniają niezwykle silne dążenie Italii – i to od zamierzchłych czasów – do przekształcenia Morza Śródziemnego w morze wewnętrzne. Autor pamięta o wyspach Dodekanezu znajdujących się na wschodniej flance tego akwenu, które zostały zajęte już podczas wojny włosko-tureckiej w 1911 r. Nie było wówczas skonsolidowanego i silnego państwa ani wielkiej floty, ani faszystwu i geniuszu jego twórcy, pojawiło się natomiast silne parcie na rozszerzenia panowania o ziemie cudze. Klęska pod Aduą w 1896 r. niczego Włochów nie nauczyła; wręcz przeciwnie – dążenie do znalezienia się w gronie mocarstw imperialnych i kolonialnych pozostało trwale i silne. Z historycznej perspektywy koszty tych dążeń i marzeń były ogromne. II wojna światowa także na morzu miała w tym swój wielki udział.

Z pewnymi emocjami poszukiwałem, zwłaszcza w pierwszych tomach, określenia *sacro egoismo*, które moim zdaniem charakteryzuje i syntetyzuje politykę uprawianą przez Włochy liberalne, poprzedzające egoizm narodowy i nacjonalizm Mussoliniego. Powinno ono się pojawić przy okazji wejścia Włoch do I wojny światowej i targów o potencjalne zyski z tego wynikające. Temat ważny, bo powtarzany dziesiątki razy w literaturze nie tyle włoskiej, ile zewnętrznej, patrzącej chłodniejszym okiem na politykę zagraniczną Italii. Chodzi głównie o to, że Włosi nie kryli się zupełnie z zamiarem przystąpienia do wojny po stronie potencjalnego zwycięzcy. W 1915 r. to się udało, natomiast nie powiodło się w roku 1940. Jest to problem moim zdaniem ważny, konieczny do zrozumienia zaangażowania społecznego – a więc i żołnierzy – w konflikt zbrojny, w sens wyrzeczeń i poświęcenia. *Sacro egoismo* wyróżniało Włochów na tle innych uczestników pertraktacji poprzedzających włączenie się do wojny, którzy starali się znaleźć inne motywy uzasadniające potrzebę pójścia na front pod sztandarem obrony – własnych granic, istniejącego porządku lub zajmowanej pozycji międzynarodowej, nieraz mieszanych z hasłami o charakterze cywilizacyjnym, religijnym czy rasowym. Włosi twierdzili jasno i wyraźnie: wejdziemy do wojny z oczekiwaniem zysków indywidualnych i zbiorowych.

W grupie fundamentalnych kwestii funkcjonujących w opracowaniu jest pytanie o miejsce marynarki w całości kształcie włoskich sił zbrojnych, jej obiektywnych możliwości, pozycji politycznej i społecznej, składających się pospołu na zaangażowanie włoskiej marynarki w konflikt zbrojny. Autor broni oficerów, którzy stanowili 5,5% sił ludzkich we flocie włoskiej, i określa ich jako dobrze przygotowanych do zadań przed nimi stojących. Prostuje niechętnie im opinie, twierdząc, że włoscy dowódcy nie

unikali starć z flotą przeciwnika i często decydowali się na nie, „mając o nim mniejszą wiedzę i nie mogąc liczyć na wsparcie własnego lotnictwa” – co zresztą wielokrotnie powtarza i uznaje jako piętę achillesową włoskiej marynarki. Wyróżnia włoskich oficerów, którzy dowodzili mniejszymi jednostkami, pisząc: „ich osobista odwaga, a często spore umiejętności zapewniały flocie normalne działanie, pozwalało na utrzymanie szlaków konwojowych. Po zakończeniu działań wojennych, w zasadniczej większości nie utracili oni posiadanych stanowisk i – często u boku niedawnych przeciwników, zaczęli osłaniać alianckie konwoje na różnych akwenach” (t. I, s. 104–105).

Pochlebne opinie kontrastują z rozpowszechnioną wiedzą, nie mówiąc o stanowisku niemieckich wojskowych. Zdaje się też trudna do zaakceptowania w kontekście wymowy faktów, a także nieco odmiennie diagnozy stawianej przy omawianiu konkretnych inicjatyw i akcji. Bliższe rzeczywistości wydają się sformułowania użyte w kontekście starcia u przylądka Stilo (t. I, s. 341, przypis 36), gdzie się pisze o niezdecydowaniu włoskiego dowództwa w początkowym okresie wojny, o braku aktywności czy dążeniu do zwycięstwa za wszelką cenę, jak również – chociaż to już w innym miejscu – o ochronie stanu posiadania i odsuwaniu udziału w operacjach o zwiększonym ryzyku.

Opracowanie zawiera przeogromną liczbę szczegółowych informacji – wśród nich nie tylko pory dnia, ale i godziny z minutami – bez wątpienia często istotnych, a ponadto fundamentalnie ważnych dla marynistów. Z natury rzeczy Autor rozpisuje się nierzadko o detalach okrętów, statków, łodzi podwodnych, omawia założenia taktyczne – także nieraz domniemane itp. Czytelnik, który nie należy do tej grupy i nie przywiązuje specjalnej wagi do szczegółów o takim charakterze, z wielkim trudem przebija się przez tekst; lektura znacznych fragmentów nierzadko stanowi dla niego wyzwanie. Bardziej zwraca wówczas uwagę na niedomagania o charakterze redakcyjnym. Zaskakują literówki w polskim tekście czy przeoczenia interpunkcyjne, które zwykle sygnalizuje program komputerowy. Redaktor nie dostrzega niedomagań dotyczących budowy i szyku zdań, a nieraz nawet nieadekwatności określeń do omawianej sytuacji. Nie może odpowiadać czytelnikowi zapis: „Działania włoskiego lotnictwa w toku tego starcia były niestety bardzo nieudolne” (t. I, s. 355) lub „Niestety celność włoskich artylerzystów była mierna i żaden z pocisków nie trafił w cel, gdy tymczasem pociski z jednego działła 100 mm [...] błyskawicznie odnalazły drogę do celu” (t. I, s. 395) – tak mógłby ewentualnie napisać historyk włoski; a tak żądny krwi wojownik: „[...] ale niestety cały czas trwała nieskuteczna wymiana ognia z obu stron...” (t. I, s. 365). Autor nadużywa – a redaktor nie dostrzega – nadmiaru słowa „niestety”, które w tych podanych przykładach w ogóle nie powinno się pojawić.

Są to jednak uwagi bez adresata. Tak ogromne przedsięwzięcie edytorskie nie miało jednak redaktora wydawniczego, a za to czterech projektantów okładki i dwóch korektorów. Szczęśliwie od tomu II pojawia się w roli redaktora Rafał Mazur, co zaowocowało istotną poprawą poziomu literackiego i redakcyjnego. Niestety – słowo „niestety” dalej miało się dobrze...

Osobiste, doprawione poetyką przesłanie skierowane przez Autora do czytelników wprowadza w klimat dzieła mającego być w zamierzeniach plodem refleksji ogólnej historyka, podróżnika, fascynata. Ładnie napisana sympatia do kraju, narodu, ludzi – w tym zwłaszcza wyróżniających się elegancją włoskich wojskowych. Oto próbka: „Trudno uwierzyć, że ci, którzy ten mundur ubierali, ci którzy bywali z niego dumni, liczyli się, że trzeba będzie walczyć w piaskach pustyni Afryki Północnej, czy w górach w Grecji lub na spalonej ziemi Sycylii. Wojna dla Włochów nie była czymś

na co czekali, była raczej niespodziewaną konsekwencją polityki, którą prowadził ich przywódca. Benito Mussolini dał im bowiem nie tylko pierwsze autostrady, czy w miarę jednolity język włoski w szkołach, ale także poczucie dumy narodowej. To dlatego tak trudno było im uwierzyć, że ten człowiek prowadzi ich na dno katastrofy, zniszczeń i klęski, oznaczający okupację i upokorzenie” (t. I, s. 9).

Zauważony przez Autora we wstępie niedosyt zadowolających syntez w literaturze światowej na temat wojny na Morzu Adriatyckim w latach 1939–1945 wymusił oparcie się na opracowaniach włoskich. Jakkolwiek jest ich sporo i dominują w literaturze przedmiotu, to jednak nie funkcjonują w historiografii powszechnej ze względu na ograniczenia językowe. Cóż zatem ma mówić autor, który podjął się próby opracowania integralnej syntezy II wojny światowej na śródziemnomorskim akwenie, jeśli efekty jego badań są dostępne w języku jeszcze mniej popularnym. Byłaby to ogromna, trudna do przecenienia strata. Poważam się odnieść tę sytuację do ogólnie znanej. Jestem zdania, że pięcioksiąż Macieja Franza, oczyszczony ze zbędnych ilustracji oraz swoistego gadulstwa wynikającego także z dzielenia włoska na czworo w sytuacjach dyktowanych emocjami, zasługuje na obecność w literaturze światowej. Mówię o dziele istotnie skompromowanym. Tłumaczeniu powinno towarzyszyć uwypuklenie, że autorem jest historyk z Polski, który ma większe szanse na obiektywne przedstawienie problemu niż bezpośrednio zainteresowani. Ale „[...] nawet jeśli danej książki nie piszemy sercem, a rozumem, to jednak nie można nic nie czuć, zwłaszcza jeśli jest to podróż naukowa przez kilka lat” (t. I, s. 16).

Z czwartej strony okładki dowiadujemy się, że edycja honoruje 60-lecie istnienia Instytutu Historii UAM i trzeba powiedzieć, że honoruje godnie. Historiografia polska dopracowała się pozycji wyjątkowej w sensie merytorycznym, ale także edytorskim. Wydawca na ogół stanął na wysokości zadania, zachęcony zapewne wysokim patronatem edycji: historycy.org, Polskie Forum Historyczne, Narodowe Archiwum Cyfrowe, czasopismo „Okręty Wojenne”, a nadto jeszcze od tomu III – infolotnicze.pl, natomiast od tomu IV – historykon.pl.

Jaki autor, taki patronat i takie dzieło.

Stanisław Sierpowski

Poznań

Stanisław Sierpowski, *Liga Narodów w najlepszym czasie (1926–1929)*, Poznań 2018, Wydawnictwo Instytutu Historii UAM, ss. 516

Książka wybitnego znawcy Ligi Narodów i stosunków międzynarodowych w XX w. nawiązuje swym tytułem do okresu stabilizacji w świecie w drugiej połowie lat dwudziestych i wielkich nadziei na trwałe pokój. Ukazała się przy tym w najbardziej odpowiednim czasie dla przypomnienia dziejów pionierskiej organizacji – w przededniu setnej rocznicy powołania jej do życia. Przez wiele lat Liga Narodów spychana była na margines historii i historiografii. Ośmieszana, oskarżana o biurokratyczną inercję, szargana za swą nieudolność we wprowadzaniu w życie zasady pokojowego rozwiązywania sporów Liga Narodów stała się kozłem ofiarnym idei bezpieczeństwa zbiorowego. W potocznej świadomości obrastała wręcz czarną legendą karmiącą się wielce uproszczoną tezą, że przyniosła wielki zawód ludzkości, nie stawiając tamy



II wojnie światowej. Zanim wskażemy, jak z tym stereotypem rozprawia się Autor, przypomnijmy, że Liga, podobnie jak każda organizacja międzynarodowa, nie mogła być niczym innym niż wypadkową jej części składowych.

W ostatnim dziesięcioleciu pojawia się coraz więcej prac wskazujących na odzyskiwanie przez Ligę Narodów należnego jej miejsca w historiografii. Dostrzega się coraz wyraźniej jej znaczenie i rolę pierwszej organizacji międzynarodowej pomyślanej z rozmachem i odwagą dla poszukiwań pokojowych środków rozwiązywania sporów między państwami, budowania zrębów bezpieczeństwa określonego mianem „zbiorowego”. Przez to ostatnie rozumiano wszak nie tylko działania polityczne, ale także inicjatywy zmierzające do „organizacji pokoju” poprzez współpracę w dziedzinie kultury, edukacji, wychowania, wzmacnianie prawa międzynarodowego czy tworzenie światowego systemu opieki zdrowotnej.

Literatura przedmiotu jest liczebnie duża, może nawet ogromna. Liczba publikacji nie pozostaje jednak w sprzeczności z powyższym twierdzeniem o marginalizacji tej instytucji w historiografii. Trwale są nadal stereotypy ukształtowane jeszcze w okresie międzywojennym, na których tworzenie nie miały wpływ miały „grzech pierworodny” w postaci wycofania się z tej organizacji Stanów Zjednoczonych i wynikająca zeń wrogość republikańców do zamysłu demokratów. Stanisław Sierpowski wskazuje nadto na ważny, pomijany czynnik, a mianowicie zdominowanie literatury przedmiotu przez prace pisane z perspektywy narodowej, eksponujące rolę i zasługi własnych polityków czy działaczy społecznych. Podzielając tę opinię i nie negując wartości pozycji wynikających z takiego założenia (wręcz przeciwnie w wielu przypadkach), stwierdzić wypada, że redukcyjne<sup>1</sup> traktowanie LN pokutuje nadal zwłaszcza w podręcznikach i różnego typu kompendiach.

Pozytywny wpływ na postrzeganie dokonań Ligi Narodów miała w ostatnich latach zbliżająca się setna rocznica jej powstania. Autor omawianej pracy przypomina o wielu inicjatywach podjętych z tej okazji i szczególnie wysoko ceni projekt Williama Glenna Graya z Purdue University, który zmierza do studiów nad Ligą Narodów z perspektywy kolejnych generacji i poszerzania badań o inne niż polityczne sfery jej działania. Ten apel zdaje się przynosić już pewne efekty i trafia w autentyczne oczekiwania czytelników, jak można wnosić z prac publikowanych w ostatnim dziesięcioleciu<sup>2</sup>. Cennych inicjatyw pojawia się coraz więcej. Największa z nich to realizowany od niedawna program digitalizacji wszystkich zbiorów archiwalnych Ligi Narodów<sup>3</sup>. Zbawienna decyzja rewaloryzacji dokumentów poprzedzona została przez emblematyczne wpisanie Archiwum LN w 2009 r. do „rejstru pamięci UNESCO”

---

<sup>1</sup> Grymasem losu jest wprowadzenie do współczesnego polskiego języka sportowego pojęcia Ligi Narodów jako określenia dla międzynarodowych rozgrywek piłki nożnej organizowanych przez UEFA od sezonu 2018/2019. Język francuski uniknął tego przykrego plagiatu słownego, przeciwstawiając Société des Nations – UEFA Ligue des Nations, język angielski trochę gorzej wypadł ze swą League of Nations – UEFA Nations League). Może jeszcze nasze władze sportowe mogą coś zrobić w tej sprawie albo chociaż zobowiązać dziennikarzy do stosowania pełnej nazwy: Liga Narodów UEFA.

<sup>2</sup> *Internationalism Reconfigured. Transnational Ideas and Movements Between the World Wars*, red. D. Laqua, London 2011; P. Clavin, J.W. Wessels, *Transnationalism and the League of Nations: Understanding the Work of its Economic and Financial Organisation*, „Contemporary European History” 2005, t. XIV, nr 4, s. 465–492.

<sup>3</sup> *Total Digital Access to the League of Nations Archives Project*.

(m.in. w towarzystwie archiwum „Kultury” w Maisons-Laffitte i dziewiętnastowiecznych zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu), a towarzyszy jej równie symboliczna renowacja Pałacu Narodów. O wielkości przedsięwzięcia świadczą wymowne dane. O ile w latach 2014–2015 zeskanowano i udostępniono 130 tys. stron dokumentów, to w następnych latach ta liczba uległa dziewięciokrotnemu zwiększeniu, a cały projekt wdrożony w 2018 r. ma doprowadzić do digitalizacji 15 mln stron dokumentów do 1922 r. A to oznaczać będzie światowy zasięg dostępu do materiałów niezwykle rzadkich i ogromnej wagi<sup>4</sup>. Dodajmy, że digitalizacja, której końcowym efektem jest kopia cyfrowa dla użytkowników poprzez internet lub inne kanały, ułatwi wielce sięganie do materiałów, jako że pozwoli skorzystać z czynności przygotowawczych towarzyszących publikacji, takich jak: identyfikacja, selekcja, paginowanie, zebranie metadanych technicznych, jak i opisowych niezbędnych do wyszukania dokumentu i uzyskania o nim podstawowych informacji w kontekście, w jakim ten dokument występuje. Jest to szczególnie ważne w odniesieniu do archiwów, które posiadają pudła lub teczki zawierające wiele dokumentów i ich wtórników, nie zawsze archiwizowanych we właściwej kolejności, często z pomieszanymi stronami, przez które musieli się przedzierać każdorazowo badacze do nich sięgający. Jeśli do tego dojdzie dobrze przemyślana wyszukiwarka, to uzyskamy narzędzie niezwyklej wagi, które z założenia powinno wpłynąć na zasięg i jakość badań.

Już obecnie dostęp *on-line* jest bardzo ułatwiony, m.in. dzięki inicjatywie poszczególnych krajów zainteresowanych dokumentami mającymi znaczenie dla historii ich krajów czy dokonań ich obywateli. W latach 2016–2017 liczne projekty wzbogaciły katalogi *on-line*. I tak np. we współpracy z archiwami narodowymi Litwy zeskanowano 350 tys. stron, które zostały dodane do archiwów elektronicznych. 300 tys. kolejnych zeskanowanych stron dorzucił rząd norweski zainteresowany zespołem archiwalnym Nansena *Refugees Mixed Archival Group (Nansen Fonds)*. Również Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie sfinansowało projekt cyfryzacji Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców z Niemiec dla lat 1933–1939. Obecnie trwają prace podjęte przez Chińczyków zainteresowanych zespołami archiwalnymi dotyczącymi agresji i okupacji Mandżurii.

Piszę o tym, odchodząc na chwilę od omawiania pracy, w nadziei na pobudzenie wyobraźni pracowników naszego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, ale także po to, by zwrócić uwagę na bogactwo zbiorów drzemających na trzykilometryowych półkach, obejmujących, poza dokumentami oficjalnymi, korespondencje, notatki z rozmów z politykami prowadzonych przez pracowników różnych komisji, projekty proponowanych rozwiązań, stenogramy posiedzeń komisji itp. pozwalające odtwarzać procesy decyzyjne i odsłaniać horyzonty umysłowe decydentów. Poszukiwacze sensacji i pikantnych anegdot nie doznają przy tym zawodu, jako że z korespondencji znanych osób wylaniać się powinno wiele szczegółów, jak chociażby tych, które mogą wyjaśnić kulisy zagadkowych relacji Ludwika Rajchmana ze swym protegowanym, jakim był Louis Despeches, mający wkrótce zyskać sławę wielkiego pisarza pod pseudonimem Louis-Ferdinand Céline i opinię zagorzałego antysemitę i krytyka Ligi Narodów<sup>5</sup>

<sup>4</sup> S. Bussard, *Les archives numériques de la Société des Nations suscitent l'engouement*, „Le Temps”, (Genève) 16 V 2018, [www.letemps.ch/monde/archives-numeriques-societe-nations-suscitent-lengouement](http://www.letemps.ch/monde/archives-numeriques-societe-nations-suscitent-lengouement) (dostęp: 20 II 2019).

<sup>5</sup> Céline skarykaturował swego szefa w swych powieściach w postaciach Yudenzwecka i Yubelblata. Zob. C. Krance, „Just an Individual?”, w: *Céline and the Politics of Difference*, red. T.C. Spear, Hanover–London 1994, s. 88–93.

m.in. poprzez utrwalone w jego powieściach karykatury swego mistrza. Interesujące pod względem literackim mogą okazać się także jego raporty z misji medycznych do wielu krajów Ameryki i Afryki.

Postrzegana w perspektywie szerokich badań, jakie niechybnie pojawią się, należy już na wstępie stwierdzić, że omawiana praca Sierpowskiego, podobnie jak jego poprzednie publikacje (i spodziewane następne<sup>6</sup>) będące rezultatem badań, prowadzonych w Archiwum Ligi Narodów, z których korzystał (w większości) jeszcze w tradycyjny sposób, stanowią pionierską w polskiej historiografii próbę całościowego spojrzenia na działalność Ligi i jej agend. Podkreślić trzeba przy tym, że Autor już w pierwszej książce poświęconej Lidze Narodów<sup>7</sup> przyjął „genewską” perspektywę opisywania zjawisk towarzyszących funkcjonowaniu tej organizacji i pozostał jej wierny w kolejnych publikacjach<sup>8</sup>. Tym samym obecny (obszerny) tom jest częścią tej wielkiej, wspaniałej syntezy, która okazuje się zarazem fascynującą lekturą, jako że Autor łączy, w sposób mogący budzić podziw albo też zazdrość, rygoryzm warsztatu naukowego z umiejętnością przystępnej narracji. Niepodważalną zaletę omawianej publikacji stanowi także jej szeroka baza źródłowa. Lista wykorzystanych prac i źródeł jest wręcz imponująca.

Monografie Sierpowskiego poświęcone Lidze Narodów to zarazem prace z zakresu historii dyplomacji w odniesieniu do okresu międzywojennego i cenny wkład do debaty nad rolą i miejscem organizacji międzynarodowych w stosunkach międzynarodowych. Zawarte w nich sądy i opinie mają tym większą wagę, że są formułowane, podkreślmy raz jeszcze, nie z perspektywy poszczególnych krajów, lecz z punktu widzenia centrali, z jej realną (lub idealizowaną) wizją swego posłannictwa, z postrzeganymi przez nią problemami wymagającymi rozwiązania i krytyką płynącą ze strony państw członkowskich czy terytoriów mandatowych, a także szeroko rozumianej opinii publicznej.

Wierny przyjętym założeniom S. Sierpowski nie eksponuje roli Ligi Narodów w rozwiązywaniu sporów z udziałem Polski w większym stopniu, niż to czyni w stosunku do innych punktów zapalnych w Europie i poza nią<sup>9</sup>. Nie ulega nawet pokusie szczegółowego wyluszczenia bliskich mu badawczo spraw włoskich. Co więcej, nie poświęca także za wiele miejsca samej Szwajcarii, o co można byłoby wraz z jej obywatelami mieć sporo żalu, jako że wybór Genewy na siedzibę LN w tym kraju nie był przecież przypadkowy, a wpływy rządów gospodarza (i jego ustroju) na funkcjonowanie i kształt organizacji okazały się znaczące pod wieloma względami.

Dodajmy od razu, że czytelnik polski szukający u wybitnego znawcy Ligi Narodów wyjaśnienia niektórych aspektów polityki II Rzeczypospolitej w relacjach z organizacją genewską nie dozna zawodu, jeśli sięgnie do licznych artykułów rozrzuconych po czasopiśmie naukowych i pracach zbiorowych<sup>10</sup> (w większości udostępnionych

<sup>6</sup> W chwili gdy dokonujemy korekty tej recenzji, dotarła do naszych rąk kolejna cenna praca Autora, ukazująca poszerzające się kręgi współczesnych Lidze Narodów sympatyków jej prac i aspiracji. S. Sierpowski, *Kondycja Stowarzyszeń Przyjaciół Ligi Narodów*, Poznań 2018.

<sup>7</sup> Idem, *Narodziny Ligi Narodów. Powstanie, organizacja i zasady działania*, Poznań 1984.

<sup>8</sup> Idem, *Liga Narodów w latach 1919–1926*, Wrocław 2005; idem, *Gra o Niemcy. Międzynarodowy kontekst wstąpienia Niemiec do Ligi Narodów w roku 1926*, Poznań 2015.

<sup>9</sup> Z jednym wszak wyjątkiem: idem, *Piłsudski w Genewie. Dyplomatyczne spory o Wilno w roku 1927*, Poznań 1990.

<sup>10</sup> Zob. m.in.: idem, *Polska w optyce Ligi Narodów*, w: *Druga i trzecia niepodległość. Dwa polskie dwudziestolecia 1918–1939, 1989–2009*, red. R. Domke, J. Macala, T. Nodzyński, R. Potocki, Zielona Góra 2011, s. 433–446.

przez Autora na stronie internetowej: WBC.poznan.pl oraz do syntezy okresu międzywojennego jego autorstwa<sup>11</sup>.

Przyjmując układ chronologiczno-problematyczny, Autor stanął przed trudnym zadaniem usytuowania badanego okresu w rozpisanej na kilka tomów historii tej organizacji. Szczęśliwym i konstrukcyjnie trafnym zabiegiem zastosowanym przezeń w omawianym tomie jest dokonanie na wstępie przeglądu sytuacji po 1926 r., stanowiącego niejako rozbudowaną konkluzję z poprzedniej monografii, a zarazem konieczny wstęp do recenzowanego tu tomu. Mamy więc dokonany w rozdziale I bilans roku 1926 naznaczonego wejściem Niemiec do Ligi Narodów oraz spojrzenie na stosunki międzynarodowe i politykę wielkich mocarstw na kilku kontynentach, a następnie opis działań organów LN z akcentem położonym na funkcjonowanie Sekretariatu oraz Międzynarodowej Organizacji Pracy i Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej (rozdz. II). Kolejne rozdziały poświęcone zostały analizie dokonań LN w dziedzinie bezpieczeństwa i rozbrojenia, rozwiązywania sporów i konfliktów międzynarodowych na obu półkulach oraz bardziej szczegółowym problemom mniejszości narodowych, skuteczności zarządzania przez Wysokiego Komisarza LN w Gdańsku i Komisji Rządzącej w Zagłębiu Saary (rozdz. III–VI). Cały rozdział VII dotyczy dokonań Stałej Komisji Mandatowej w odniesieniu do terytoriów, nad którymi poszczególne mocarstwa sprawowały opiekę w Afryce, Azji i na Bliskim Wschodzie. Ostatni rozdział, podsumowujący działalność LN w pierwszej dekadzie, wkomponowany został w jubileuszowe obchody skłaniające do konfrontacji uniwersalistycznych założeń z rzeczywistymi dokonaniami. Jubileusz stanowił dla LN, a więc i dla Autora okazję do spojrzenia na organizację genewską z zewnątrz z punktu widzenia jej członków, państw pozostających poza Ligą oraz opinii publicznej.

Lektura całości skłania do kilku uwag. Szczególnie instruktywne dla kolejnych badaczy, jakich mam nadzieję nie zabraknie, zważywszy na wspomniane wyżej okoliczności, są rozważania dotyczące organów Ligi Narodów pokazanych na etapie ewolucji w drugiej połowie lat dwudziestych. Sekretariatowi, zajmującemu ważne, czasem centralne miejsce w strukturze nowej organizacji, Autor poświęcił wiele miejsca już w pierwszej pracy na temat narodzin Ligi Narodów. W omawianej monografii uznał za słuszne zająć się przyczynami zauważalnego wzrostu znaczenia sekretariatu i rosnącej liczby personelu. W tym organie, podobnie jak w całości działań politycznych, podkreślił rosnącą dominację francusko-angielską przejawiającą się w liczebnej przewadze urzędników tych krajów, zwłaszcza na wysokich stanowiskach (s. 53). Zwrócił też uwagę na kolejne zjawisko dotyczące presji, jaką na władze Ligi wywierały mniejsze państwa kierujące się ambicją posiadania jak największej liczby własnych przedstawicieli ze szkodą dla ich niezależności, a tym samym dla etosu służby cywilnej. Te zjawiska wpływać musiały także na prestiż i status urzędników organizacji międzynarodowej, co wynikało – jak sugeruje Autor – z dziecięcej choroby organizacji, z jej niepewnych pierwszych kroków, z bezprecedensowej sytuacji. W tym punkcie można byłoby polemizować z Autorem, jako że cenne doświadczenie ludzkości (słowo nie jest przesadne) stanowiły już osiągnięcia Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża funkcjonującego pod tą nazwą od 1875 r. W doborze i działalności jego pracowników obowiązywały uznane i powszechnie aprobowane zasady oraz wartości, czyli humanitaryzm, bezstronność, neutralność, niezależność (od władz państwowych) oraz poczucie jedności. Co więcej, przy wyborze między

<sup>11</sup> S. Sierpowski, *Między wojnami*, t. I–II, Poznań 1998–1999.

Genewą a Brukselą na siedzibę Ligi Narodów te właśnie względy przeważały, nawet jeśli nie zostały dobitnie wyartykułowane. Bruksela symbolizowałaby przecież tryumf zwycięzców, którzy zawsze uważają, iż mogą sobie pozwolić na więcej! Imponderabilia spełniły swoją rolę i nie przekona mnie Autor, że o wyborze Genewy na siedzibę Ligi zdecydował jedynie prezydent Stanów Zjednoczonych, kierując się zupełnie innymi przesłankami (s. 77). Pytanie należałoby zatem postawić nieco inaczej, a mianowicie dlaczego w tak krótkim czasie doszło do erozji przyjętych *a priori* zasad i wartości i jakie były tego głębsze przyczyny?

Autor na to pytanie odpowiada, częściowo analizując łącznie negatywne zjawiska występujące w funkcjonowaniu Ligi i przejawiające się m.in. w coraz wyraźniej zarysowującej się tendencji eliminowania spraw trudnych, konfliktowych lub perspektywicznych z porządku dziennego kolejnych posiedzeń Rady LN po wejściu do niej Niemiec. To efekt, twierdzi, organizującego się w ramach Ligi „koncertu wielkich mocarstw” i pomijanie wypracowywanych mechanizmów genewskich w podejmowaniu ważnych decyzji. Zjawisko w istocie zdawało się narastać już od pewnego czasu, m.in. w związku z wyznaczającą cezurę w stosunkach europejskich konferencją w Locarno czy kolacją Brianda ze Stresemannem w Thoiry, gdzie zapadła *de facto* decyzja w sprawie wcześniejszej ewakuacji Nadrenii.

Przejmowanie przez wielkie mocarstwa uprawnień Ligi Narodów (i wstydlive chyba uciekanie z decyzjami do innych niż Genewa miast) miało swe konsekwencje w postaci zaniedbywania spraw oczekujących na rozwiązanie, jak rozbrojenie czy napięta sytuacja w Chinach i na Bałkanach. Świadomość tej ewolucji wspólnie była dość powszechna<sup>12</sup> i prowadziła – jak podkreśla S. Sierpowski – do podejmowania prób podtrzymywania czy już nawet ratowania prestiżu Ligi poprzez inicjatywy ze strony mniejszych państw i nawoływania do rozsądku niektórych polityków. Pod tym względem obrady VIII Zgromadzenia we wrześniu 1927 r. okazały się wielce symptomatyczne. Wśród wielu zgłoszonych propozycji największe zainteresowanie wzbudził polski projekt powszechnego paktu o nieagresji. Wywołał także zaniepokojenie wielkiej trójki, jaką tworzyli wówczas Austen Chamberlain, Aristide Briand i Gustav Stresemann<sup>13</sup> podejrzewający Polaków o zabiegi zmierzające do „Locarna wschodniego”. W toku przygotowań i konsultacji prowadzonych z radcami prawnymi tych polityków – C. Hurstem, H. Fromageotem i F. Gausem, *nota bene* redaktorami paktu reńskiego, projekt F. Sokala został zredukowany do niewiele znaczącej deklaracji.

Autor porusza także interesującą kwestię licznego udziału kobiet w pracach Sekretariatu LN i ubolewa nad ich słabą reprezentacją na wyższych stanowiskach. Ma oczywiście rację, ale wydaje się, iż warto było bardziej podkreślić sam fakt ich liczebnej przewagi wśród personelu tego ważnego organu. Wszak to jeden z ciekawszych wskaźników postępującego wyzwolenia kobiet, których portret sporządził w 1922 r. Victor Margueritte w powieści *La Garçonne* (*Chłopczyca*<sup>14</sup>). Przypomnijmy,

<sup>12</sup> Belgijski „Le Peuple” alarmował 6 IX 1927 r., że „manifestacyjne wykazywanie słabości Ligi rodzić może podejrzenie, że chodzi tu o metodyczny sabotaż”.

<sup>13</sup> E. Stern-Rubarth, *Three Men Tried... Austen Chamberlain, Stresemann, Briand and their Fight for a New Europe*, London 1939.

<sup>14</sup> Pierwsze wydanie polskie miało miejsce w 1923 r., drugie w 1991 r. Jako ciekawostkę można podać, że jeden z elementów owego wyzwolenia – fryzura *à la garçonne* – została stworzona i wypromowana przez wielkiego mistrza fryzjerskiego owych czasów – Antoine’a de Paris (Antoniego Cierplikowskiego).

że kolejne wydania tej książki przyniosły Autorowi sukces wydawniczy (600 tys. egz. nakładu, 13 wydań, liczne tłumaczenia) i rozgłos skandalisty, ale zapewne także dumę z powodu sprawczego udziału w przyspieszeniu owego procesu równoprawnienia. Zmiana miejsca kobiet w społeczeństwie, jaka dokonała się w tych „szalonych latach”, nie dotyczyła tylko mody (krótkich spódnic i krótkiej fryzury), jak najczęściej się pisze, ale także praw wyborczych uzyskiwanych po wojnie stopniowo w poszczególnych państwach (w tym także w Polsce) i uznania społecznego przekładającego się na otwarcie dla nich wielu zawodów dotychczas zastrzeżonych dla mężczyzn. To poniekąd także efekt wojny, w czasie której kobiety z konieczności zastępowały mężczyzn powołanych do wojska i ginących na frontach. Innymi słowy spojrzenie z perspektywy *gender* na miejsce kobiet w organizacji międzynarodowej mogłoby przynieść interesujące efekty<sup>15</sup>, zwłaszcza gdyby uwzględnić także ich rolę w akcjach humanitarnych prowadzonych przez Ligę Narodów i pozostające pod jej auspicjami prywatne organizacje charytatywne.

W poszukiwaniu zasług i osiągnięć Ligi Narodów Autor poświęcił słusznie dużo miejsca Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP) stanowiącej integralną część LN. Ta organizacja, przesiąknięta „duchem Genewy”, podejmowała się rozwiązania problemów ekonomicznych i socjalnych pracowników, walki z bezrobociem, unormowaniem czasu pracy, upowszechnieniem ubezpieczeń, krótko mówiąc uwzględnienia tych czynników, które miały gwarantować pokój i spokój społeczny oraz wzmacniać bezpieczeństwo socjalne. Niektóre pociągnięcia, jak np. usadowienie przy jednym stole przedstawicieli pracowników i pracodawców<sup>16</sup> oraz rządów, miały wręcz epokowe znaczenie. Niewątpliwie w pewien sposób na podejmowanie śmiałych kroków przez MOP wpłynęła także konfrontacja ideologiczna z ukonstytuowanymi w wielu krajach partiami komunistycznymi, oddanymi członkami III Międzynarodówki. Do długiej listy osiągnięć MOP, wymienionych przez Autora, należałoby dodać skutecznie prowadzoną w latach 1924–1930 akcję osiedleńczą imigrantów w wyniku uzgodnień z Komisją Ligi Narodów ds. Uchodźców.

Kolejny jasny punkt, jaki Autor dostrzega w działalności Ligi Narodów, to rola Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej (STSM) z udziałem w jego pracach Stanów Zjednoczonych po podpisaniu paktu Brianda-Kellogga. Z działalnością STSM wiąże się sprawa arbitrażu międzynarodowego, do którego to zagadnienia Sierpowski powraca w swej monografii wielokrotnie. Arbitraż według francuskiej wykładni z czasu negocjacji nad protokołem genewskim miał stanowić nieodłączny element bezpieczeństwa i rozbrojenia. Odrzucenie protokołu przez Wielką Brytanię spowodowało, że nostalgia za proponowanymi w nim rozwiązaniami stała się trwałym elementem potocznej świadomości tej części opinii publicznej, w której nadal żywa była wiara w moc prawa międzynarodowego oraz porozumienia opartego na kompromisie i zrozumieniu dla racji adwersarza<sup>17</sup>. Autor wskazuje, jak nadzieje wynikające

<sup>15</sup> Zob. C. Miller, *Women in international Relations? The Debate in interwar Britain*, w: *Gender and International Relations*, red. R. Grant, K. Newman, Buckingham 1991, s. 64–82.

<sup>16</sup> To rozwiązanie zastosowali w czasie I wojny światowej Belgowie pod okupacją niemiecką dostrzegając zbieżność celów obu tych grup widzianych w marksowskiej perspektywie w stałym konflikcie.

<sup>17</sup> Protokół szedł tak daleko, że odmowę arbitrażu traktował jako agresję, zaś pomoc militarną dla ofiary agresji czynił obowiązkową od chwili, gdy zyskała ona 2/3 głosów Rady LN. Upadł z powodu konserwatystów brytyjskich do władzy odmawiających jego ratyfikacji.

z owej świadomości rosły wraz z przekonaniem o praktycznym zastosowaniu art. 2 paktu Brianda-Kellogga, mówiącego o obowiązku pokojowego rozstrzygania sporów i konfliktów. Zrodzony z tej wiary czy może tylko potrzeby dania satysfakcji opinii publicznej *Acte Général d'Arbitrage*, przyjęty przez IX Zgromadzenie LN, starano się współcześnie zaprezentować jako przełom w rozpatrywaniu wszelkich konfliktów międzynarodowych na drodze prawnej. W praktyce *Acte Général* stosowany był bardzo rzadko i choć formalnie obowiązuje nadal, to pozostaje głównie wyrazem szlachetnych aspiracji wspólnoty międzynarodowej.

Wielką wartością pracy S. Sierpowskiego jest szerokie potraktowanie ciekawego wątku zarządzania obszarami mandatowymi pod kuratelą LN. To tematyka w polskiej historiografii praktycznie nieobecna. Autor przedzierając się przez gąszcz dokumentów archiwalnych, zwraca uwagę na złożoność problematyki. Nie zaprzecza obecnej w literaturze tezie, że system mandatowy służył przede wszystkim interesom zwycięskich mocarstw europejskich i był podziałem łupów wojennych, ale wskazuje na dokonania Stałej Komisji Mandatowej (SKM) korzystającej z pewnej niezależności od rządów i swego rodzaju sankcji w postaci opinii publicznej żywo reagującej na wyciągi z raportów SKM, docierające do wszystkich członków Ligi. Ważnym źródłem informacji o sytuacji na tych terytoriach były nie tylko wymagane sprawozdania mandatariuszy, ale także liczne petycje i skargi tubylców oraz interwencje organizacji humanitarnych działających na tych terenach. Również współpraca z MOP oraz z Organizacją Zdrowia przynosiła pozytywne efekty w walce z chorobami, narkotykami, handlem ludźmi czy w staraniach o poprawę warunków pracy. Zagadnienie wymaga niewątpliwie dalszych badań, a obfitość materiałów, które wskazał Autor (m.in. liczne wycinki prasowe), zachęci wielu historyków do ich podejmowania zwłaszcza w perspektywie wspomnianego projektu digitalizacji zbiorów.

Z racji własnych zainteresowań chciałbym jeszcze powrócić do projektów europejskich omawianych przez Autora w związku z zagadnieniem bezpieczeństwa. Otóż wydaje mi się, że twierdzenie, iż „Paneuropa” to projekt, który powstał „w kontrze do uniwersalnej Ligi Narodów” (s. 143), jest o tyle mylące, że Richard Coudenhove-Kalergi konstruując swój paneuropejski zamysł, opierał się na dopuszczalnych przez Ligę związkach regionalnych i uważał, że ten skromniejszy, mniej ambitny plan miałyby większe szanse skuteczniejszego działania. Paneuropa jako porozumienie regionalne wchodziłaby w skład Ligi Narodów i korzystałaby z jej mechanizmów rozstrzygania sporów, jakie mogłyby się pojawić między nią a powstającymi w przyszłości związkami: panamerykańskim, Wspólnotą Brytyjską, wielonarodową i demokratyczną Rosją czy mglistym związkiem obejmującym Daleki Wschód i Oceanię. Projekt Paneuropi znajdował poparcie wielu intelektualistów francuskich i ligowych działaczy, jak chociażby wspomnianego wielokrotnie w pracy Henriego de Jouvenela i oczywiście samego Brianda. Polacy mieli dodatkowy powód, by życzyć mu powodzenia, bowiem Coudenhove-Kalergi przyjął jako godło Unii Paneuropejskiej flagę zaprojektowaną przez Stefana Buszczyńskiego w jego *Upadku Europy*. Projekt ten współcześnie nie był traktowany zbyt serio i przez pewien czas miał poważnego konkurenta, jakim był pomysł Alfreda Nossiga, wszechstronnie uzdolnionego człowieka rodem z Galicji, autora libretta do opery Paderewskiego *Manru*, architekta i rzeźbiarza. Mocnym poparciem 24 komitetów narodowych i kilku „wielkich”: Paderewskiego, Brianda, Stresemanna i MacDonalda zdołał uprzedzić młodego hrabiego i zwołał 2 IX 1926 r. do Genewy kongres założycielski Federacji na rzecz Porozumienia Europejskiego. A jednak to kongres Paneuropi mający miejsce miesiąc później w Wiedniu zyskał

większy rozgłos... Obydwa projekty przygasły po wystąpieniu Brianda na początku sesji Zgromadzenia LN w 1929 r. z propozycją Federalnej Unii Europejskiej. Mimo początkowego entuzjazmu dla tego pomysłu wkrótce wszyscy zdali sobie sprawę, że sytuacja międzynarodowa nie sprzyja marzeniom. W Niemczech doszło do zwycięstwa Hitlera w wyborach parlamentarnych, a szalejący kryzys ekonomiczny skłaniał wiele państw do stosowania praktyk protekcyjnych odległych od idei integracji. Efekty analiz propozycji Brianda znalazły się w archiwum i pewnie nadal tam spoczywają wraz z 502 projektami, jakie młodzież szkolna przesłała na konkurs zorganizowany wówczas przez H. de Jouvenela.

Sierpowski przeszedł od tych koncepcji do oceny współpracy gospodarczej, wiążąc niejako *a priori* koncepcje paneuropejskie z ekonomicznym wymiarem integracji. To interpretacja równie uprawniona, jak twierdzenie, iż Liga Narodów ułatwiła przejście od utopijnych do realnych projektów jedności europejskiej. Można chyba też pokusić się o postawienie hipotezy, że Liga Narodów poprzez dyskusje nad projektami federacyjnymi i poprzez własne niepowodzenia w latach następnych prowadziła do przekonania, że trwały związek mogą tworzyć tylko państwa demokratyczne. Zwrócić uwagę, że od dojścia do władzy Mussoliniego rosła w Lidze Narodów liczba krajów niedemokratycznych, co rzutować musiało na jej skuteczność i pogłębiało rozdział między nią a zasadami i wartościami, na których się opierała. Zjawisko zdaje się powtarzać w przypadku ONZ, która traci równowagę na korzyść państw autorytarnych. Przed podobnym wyzwaniem staje także Unia Europejska, co może grozić jej utratą tożsamości albo fasadowością.

Dla każdej z tych interpretacji, podobnie jak dla spojrzenia na całą złożoność problematyki międzywojennej, prace Sierpowskiego podsuwają liczne argumenty, uwodzą oryginalnymi przemyśleniami i inspirują. Bardzo dobrze udokumentowane i wzbogacone licznymi ilustracjami, oddającymi atmosferę lat dwudziestych XX w.<sup>18</sup>, stanowić będą dla całych pokoleń historyków nieodzowny adres w badaniach nad okresem międzywojennym oraz jego dorobkiem intelektualnym i ideowym.

Józef Łaptos

Kraków

---

<sup>18</sup> Liczne zdjęcia polityków odzwierciedlają nieoczekiwanie także trendy panujące w ówczesnej modzie męskiej. Pierwsze miejsce na długiej paradzie modeli zajmują przebrani w stroje cywilne: marszałek Piłsudski i płk Beck (s. 240).